

Andrzej Krzysztof Guzek

Uniwersytet Warszawski, Polska

e-mail: a.k.guzek@uw.edu.pl

ZOBACZYĆ WARSZAWĘ I UMRZEĆ!

*Lecz jej się strzeżcie, bo tam Włoch Davelli
Gdy się zaraził i był bez sposobu,
Z miłosierdzia go do szpitala wzięli
I nie uniknął wapiennego grobu.*

Na niejednoznaczność popularnego „zobaczyć Neapol i umrzeć” dawno już zwrócono uwagę. Czy taki wspaniały, że nic już więcej w życiu zwiedzać nie warto, czy też tak zepsuty, zgniły, zarażający, że wojażer z życiem nie ujdzie? Nie jest prawdą, że ojcem powiedzenia był Goethe. Ten, w podróży włoskiej, dojechał do Neapolu 25 lutego 1787 roku i pozostał w mieście i okolicy przez miesiąc, do 29 marca. Neapol go zachwycił, na każdym poziomie, krajobrazem, architekturą, kulturą, a przede wszystkim ludźmi, ich naturalnością, radością życia. W piątym dniu pobytu zapisał: „O położeniu miasta i jego urokach, tylekroć już opisywanych i chwalonych, ani słowa. „Vedi Napoli e poi muori!» — mawiają tu. «Zobaczyć Neapol i umrzeć». W zapiskach z dni następnych ni słowa o chorobach, prostytutce, nędzy. „Miasto [...] wzbudziło we mnie pragnienie zatrzymania się tu dłużej”, „Wszystko zdaje się wskazywać, że kraj szczęśliwy, w pełni zaspokajający najprostsze potrzeby, wydaje również ludzi o pogodnym usposobieniu, którzy beztrósco ufają, że dzień jutrzejszy przyniesie to samo, co przyniósł dzień dzisiejszy i dlatego niczym się nie przejmują”. I jeszcze kilka myśli: „ludzie z gruntu naturalni i beztróscy”, „przewspaniały zachód słońca i niebiański wieczór”, „Życie można tu wcale wygodnie... nie można dość się nachwalić położenia miasta i klimatu”. A zatem warto, tak jak sir William Hamilton, tu przyjechać

„na jesień swego życia”. Jeśli już trzeba gdzieś umrzeć, to warto tutaj. W Neapolu.

Zwiedzający Warszawę w podobnych latach XVIII wieku liczni cudzoziemcy pozostawili mniej entuzjastyczne opisy. Piękno krajobrazu i wygląd miasta trudne do porównania z obrazami Włoch. Bardziej zatem interesuje nas refleksja na temat ludzi, społeczeństwa, ich życia, zwyczajów, poziomu kultury, zadowolenia. W pamiętnikach cudzoziemców znajdujemy wiele refleksji. Niemало też ociera się o ów dwuznaczny temat.

Umrzeć z zachwytu czy umrzeć zarażonym? Szczególnie wnikliwie obserwował tę sferę życia w Warszawie Inflanctzyk Schulz, który tu zjechał po raz pierwszy w 1791 roku i wówczas zapewne zdobył podstawową a i wnikliwą wiedzę o mieście, bowiem po raz drugi spędził tu jedynie dwa tygodnie w maju 1793 roku. Schulz, jak żaden z kilkunastu zagranicznych pamiętnikarzy oglądających Warszawę, uważnie wniknął nie tylko w wysoką kulturę salonu arystokratycznego i bogatego mieszczaństwa, ale też uważnie opisał sferę społeczno-obyczajową miasta. Konkluzja tu jest jedna. Nigdzie w Europie nie ma tak rozwiązłych kobiet we wszystkich stanach i tak rozbuchanej i niczym niekontrolowanej prostytucji. „Świętość małżeńskich związków jest tu zupełnie lekceważona”, „Silny przypływ szlachty z prowincji, która najczęściej przybywa tylko dla rozrywki... pobłażanie w tym względzie opinii publicznej... zły przykład, jaki dają mężczyźni i kobiety z wyższej społeczności, zupełny brak nadzoru ze strony rządu i wszelkiej policji — sprawiają, że się tu dziwić nie można nadzwyczajnemu rozprężeniu obyczajów, jawności jego, rozszerzaniu złego, kosztowności i marnotrawstwu, jakie ono za sobą prowadzi, mieszanie bezwstydu i dzikości w nim, jakich może żadna stolica europejska w tym stopniu co Warszawa nie przedstawia”.

Ten obraz Warszawy, może przesadny, wpisać można w dwa paradygmaty kulturowe. W ten libertyński, który Kant zwał dorosłością społeczeństwa i jego wolnością, lub w ten, który dostojnicy kościoła w XX wieku nazwali „dotknięciem diabła”.

Niech przewodnikiem po owej stanisławowskiej Warszawie będą dwa niewielkie poematy, pierwszy tytułowany *Przewodnik po Warszawie* liczący 139 strof czterowersowych i drugi — *Suplement „Przewodnikowi [warszawskiemu]”* przez innego Autora wydany w tymże roku 1779, pisany sekstyną i liczący 135 strof. Jak prowadzi ich wydawca, Edmund Rabowicz, tekst pierwszy wyszedł zapewne spod pióra Antoniego Nagłowskiego, a drugi pewnie przelał

na papier Antoni Kossakowski. Obydwaj to drugorzędni, ale sprawni rzemieślnicy poetyckiego fachu. Nagłowski ma w 1779 roku trzydzieści siedem lat, drukuje w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych”, pracuje w Radzie Nieustającej, przesyła stałe warszawskie sprawozdania A. Sułkowskiemu. Kossakowski, znacznie starszy, bo już po sześćdziesiątce, ma za sobą tajemnicze ćwierć wieku w awanturach, podróżach, w czasie których, jak twierdzi, jako Moliwda panował na jednej z wysp Grecji, teraz wyższy urzędnik w Radzie Nieustającej i Gabinetcie Jego Królewskiej Mości, poliglota, zręczny polityk. Rabowicz odnalazł obydwie teksty w Kijowie w 1956 roku w kopiariuszu osiemnastowiecznym. Z publikacją czekał prawie trzydzieści lat, a i tak wydanie w gdańskich „Zeszytach Naukowych Wydziału Humanistycznego” jako do nich dodatek opatrzone zostało znamienym *hors commerce*, ciągle obowiązującym w socjalistycznej moralności PRL-u.

Warto zwrócić uwagę na słowo „wydany” w tytule *Suplementu*. Nie ma żadnego potwierdzenia, że obydwie przewodniki kiedykolwiek były drukowane. Zapewne krążyły w odpisach, ale też nie można z całkowitą pewnością wykluczyć możliwości istnienia zacytowanego i nieosiągalnego dziś druczku. Rzec jest dość podobna do słynnych wierszy deserowych, które ponoć były drukowane dla uczestników obiadów czwartkowych i podkładane pod serwety. Jeśli przemnożymy (orientacyjnie) liczbę obiadów przez liczbę uczestników, to wydrukowano na zamku kilkaset owych frywolności. Tymczasem nie zachował się ani jeden taki druczek. Wniosek podobny. Albo wszystko krążyło w rękopisach, albo druki się nie zachowały.

Rzec miała miejsce pół wieku temu, we Wrocławiu, na ulicy Szewskiej w siedzibie oświeceniowej pracowni Polskiej Akademii Nauk. Kto był wówczas na sali? Raczej zapytajmy, kto mógł być. Na systematycznie organizowane zebrania zjeżdżali oświeceniowcy z całej Polski. Profesorowie: Zdzisław Libera, Mieczysław Piszczkowski, Zdzisław Skwarczyński, Mieczysław Klimowicz, docenci, doktorzy i prawie już doktorzy: Elżbieta Aleksandrowska, Alina Aleksandrowicz-Urlichowa, Zofia Sinkowa, Teresa Kostkiewiczowa, Przemysława Matuszewska, Janina Pawłowiczowa, Jadwiga Rudnicka, Maria Rutkowska, Halina Stankowska, Zofia Wołoszyńska, Jadwiga Ziętarska, Roman Kaleta, Edmund Rabowicz, Andrzej Cieński, Józef Szczepaniec, Julian Platt, Roman Sobol, Piotr Żbikowski, Jerzy Jackl, Janusz Maciejewski, Wacław Wojnowski, Ryszard Wierzbowski, Zdzisław Maciej Zachmacz, Wojciech Podgórski, Andrzej Guzek, Jerzy Snopek, Barbara Wolska.

Większość już dzisiaj na lepszym ze światów. Zebranie naukowe. Przewodniczy docent Zbigniew Goliński. Referat Edmunda Rabowicza. Po kilku zdaniach zapada cisza, po kilku następnych panie spuszczaają głowy i zaczynają uważnie wertować własne notatki, natomiast panowie wygodnie odchylają się na niewygodnych krzesłach, patrząc z rosnącym podziwem na referenta. Jeszcze zdań kilka i rozlega się tłumiony chichot, następne trzy zdania i pierwsza salwa śmiechu, po chwili śmiech ogłuszający. Goliński prosi o ciszę. Chwila skupienia, dwa zdania, jeden cytat i śmiech homerycki. Goliński interweniuje, prosi, sytuacja ponawia się jeszcze dwa lub trzy razy i przewodniczący oznajmia. „Proszę państwa, profesor Rabowicz zapewne tekst przekaże kiedyś do druku, łatwiej będzie nam przeczytać niż wysłuchać” i zapowiada przerwę, a po niej następny referat.

A cóż chciał nam wtedy powiedzieć docent Edmund Rabowicz? Może przygotował wnikliwe uwagi o atrybucji dwóch poematów, wykorzystując cechy ich języka? Może chciał konfrontować świat przedstawiony z realiami epoki? Może chciał odnieść tekst do innych impudików stanisławowskich? Załóżmy dzisiaj, że nie usłyszeliśmy przed wielu laty następujących uwag:

Czynność, o której mówią obydwie poematy

Kossakowski nazywa ją „jebanką”, „bzdyczką”, „rypunką” i „obłapką”. Miejsce akcji to „jebarnia”, a czasowniki obsługujące ową czynność to: „jebać”, zdecydowana preferencja u Kossakowskiego (25 użyć), następnie „rznać” i „zerznąć” (8), jeśli czynność powtarzana przez czas dłuższy to „rzeźić się”. Są także jednostkowe użycia: „bzdyczyc” (3), „chędożyć” (4), „pierdolić” (3), „piłować się” (1), „golić” (1), „miłować się” (1), „łazić” (1). Nieco inaczej nazywa Nagłowski owe zachowania, u niego najczęściej pojawia się „obłapiać” (13), „chędożyć” (7), „rznać” (4) „jebać” (10), „włazić” (1), „dawać” (1), „być powolną” (1), ogólnie zaś czynność ową zowie najczęściej „obłapką” (7), a raz „miłowaniem”. Jeśli chodzi o *dramatis personae* owych zapasów, to z jednej strony występują (u Nagłowskiego): „kurwy” (20), „kurewki” (3), „kurwiska” (1), „dziewki” (5), „kobietki” (2), „kobietki” (2) raz: „panny”, i „metresy”. Kilka razy pojawia się „tłuk” (4) lub „tłuczek” (2), oznaczający dziewczyny najgorszego autoramentu („tłuczek groszowy”). Co ciekawe, u Nagłowskiego rzadko pojawia się nazwa męzczyzny uczestniczącego w owych akcjach, jest to „jebur” (1), „jebiec” (1).

A oto odpowiednia leksyka Kossakowskiego. Bohaterkami *Suplementu* są „kurwy” (34), „kurwiska” (7), „kurewki” (3), „tłuki” (5), „metresy” (3), raz „pizdodziurska”, raz „dziewica”, raz „amantka”. Kossakowski barwnie określa drugą stronę płatnych amatorów. Są to: „jebak” (17), „jebiec” (5), raz „jebur”, raz „jebnik”, raz „skurwysyn”, raz „tęgojebski”. Barwę zyskują owe określenia zaopatrzone czasem w epitet. Tak na przykład prymas Ostrowski to „jebiec tęgi”, a „jebać” można „smacznie”. Jak w porządnym teatrze, wszyscy razem to „burdelskie osoby”, scena to: „miejsce kurwiskie”, a spotkania to „kurewski kongres”.

Narzędzia „obłapki”

Tu wyobraźnia językowa jest dość znaczna, a frekwencja użyć bardzo wysoka. Zaczniemy od tej części, która u szambelana Woyny w piosence biesiadnej pojawia się jako „luby kątek, z którego życia mamy początek”.

Nagłowski zdecydowanie preferuje „dupę” (17 razy), pieszczotliwa „dupka” pojawia się cztery razy, „piczka” (3 razy), „pisia” (1), „pizda” (2), „picza” (5), „pichna” (2), „kiepstwo” (1), „chuchmaja” (1).

Nieco inaczej buszuje językowo w owym „kątku” Antoni Kossakowski: „picza” (16), „dupa” (7), „dupka” (6), „piczka” (1), „pisia” (1), „kiepstwo” (2), raz osobliwy „sik”, raz „chaja”, raz sympatyczna „niewolniczka”.

Dość istotnym problemem jest pytanie o desygnat. Czy „dupa/dupka” to ów „kątek”, czy to, co bardziej z tyłu. W zasadzie słowo obsługuje część przednią, tylna sama się odkrywa, gdy obaj autorzy piszą, że jakaś dziewczka dostała w „dupę” różgami, czy bili „dupsko” bądź „ zadek” lub „zadnicę”. Uważniejsza refleksja (jak na dowód naukowy przystało!) wskazuje, że rzadko, ale czasem, pojawia się subtelniejsze rozróżnienie w opisywanych amorach. Tak oto różnicuje owe dwie dziurki Stanisław Kostka Potocki w *Pochwale bordelu*, pisząc: „ten w piczy kusia dzielnego pakuje / ten pcha go w dupę i jak młotem kuje”. W warszawskich *Przewodnikach* raz tylko dopatrzeć się można owego rozróżnienia, ano wtedy, gdy Kossakowski pisze: „kiedy dorobku dochodziła zadkiem / więcej przyniosła intraty jej dupa / niż browar wiejski, wiatrak lub chałupa”, choć teza to dość wątpliwa, bo nie do końca wiemy, co „poeta miał na myśli”.

Jeśli chodzi o narzędzie męskie, to Nagłowski nazywa je „kuśką” (3), „kusicą” (2), „szwancem” (1), „chujem” (2), „gapiem” (1),

„grzesznikiem” (1). Kossakowski zdecydowanie woli „chuja” (11), czasem wymienia go na „chuika” (2), „kuśkę” (1) i „chwosta” (1).

Złe adresy

Znane pisma i wypowiedzi warszawskich lekarzy (La Fontaine’a) informują, że na dziesięciu chorych w Warszawie ośmiu dopadła bogini Wenera. Że w niewiele lepszych proporcjach plasują się badani rekruci. I tu widzimy zasadniczą różnicę między *Przewodnikiem* Nagłowskiego a *Suplementem* Kossakowskiego. Wszystkie prawie dziewczyny z pierwszego przewodnika są chore i Nagłowski ostrzega czytelnika. Zatem jest to przewodnik po miejscach, gdzie nie należy chodzić.

Odwrotnie, prawie wszystkie dziewczyny Kossakowskiego są zdrowe, zatem *Suplement* jest spisem adresów polecanych. Co w obu poematach gnębi warszawskie „kurwy” i ich miłośników? Przede wszystkim „szankier” (szankry) (17 wskazań), „trypry” (12), „franca” (9), „szotpisy” (4), po kilka wskazań mają: „pałka”, „dymnica”, „bombony” po jednym „uzary”, „fluks” i „kiła”, co ciekawe fluks i kiła „to mniejsze są choroby stopnie”. W poematach pojawia się lekarz Moreli, specjalista w tym zakresie, i aptekarz Andrychowicz, mający najlepsze leki, czasem szpital św. Łazarza, gdzie się nieszczęśni kurują.

W opisach chorób celuje Nagłowski, sam, jak przyznaje, zarażony szankrem. Takiej Węgierce „baronessie” (mieszka u Prześwita) „u dupy wiszą same strzępki / brodawek dwie ma i trzy w piczy hafty”, „tak się jej w pizdzie wargi popadały / że nie ma w dupie kawałka całego”, zatem „chcąc ją obłapiać”, „miałbyś w zysku tryper albo szankier”. Nieszpetnej Szwarcównie (która mieszka na Świętokrzyskiej nieopodal szpitala) „trypry i szankry płyną z jej krynicy”. Snarska starościna (adres: na górze u Dobrowolskiego) „chłopcom trypry i szankry rozdaje”. „Oficerką” zowią dziewczę mieszkającą na Nowym Mieście przy kościele, a ta „trypry w całej okolicy mnoży”. U Matowej (ulica Marszałkowska), która dziewczek ma dosyć, ale zarażone — „tam się strzec trzeba i nie chodzić wcale”. Machnicką (Rydzyna, trzecie piętro) zaraził tryprem pan Deszot. U Dębskiej (Nowy Świat u Szlichtyna) „wszystkie chore, wszystkie szankier miały”. A już bardzo uważać trzeba i nie chodzić na Grzybów, róg Krochmalnej, tam najtańsze dziwki, ale „france, szankier po Warszawie płodzą”. A takiej Elżbietce, siostrze Anetki z Leszna „włosy wylazły i nie ma powieki / chrapie

w nos mówi, kiejstwo zjadła franca / strzeż się, nie chodź tam, bądź od niej daleki / bo byś niechybnie miał chorego szwanca". Że nie były to choroby błahe, świadczy nie tylko nieboszczyk Davelli, ale i zdziwienie Nagłowskiego, że Tekla Daszkiewiczówna (mieszka przed Sakramentkami), gdy „dostała francy i cicho mówiła / mniemałem, że już śmiertelną zostaje”, a ozdrowiała.

Dobre adresy

Najciekawiej jednak wyglądają zapewnienia Kossakowskiego, że polecane przezeń dziewczyny są zdrowe. Choć wie o setce dziewczyn od gwałtownej potrzeby opisuje tylko te, których „mi wiadome picze”. Nie zajmuje się dziewczynami Nagłowskiego, choć raz prostuje wiadomość z *Przewodnika*. Oto Nagłowski nie wie, że w kamienicy Hołubków, obok kilku dziewczek, ciągle praktykuje „Hołubkówna / [która] jest także częścią wyjebanych dupków / wszak to moskiewska dawna kurwa główna”, teraz postarzała się, zbrzydła, ale wciąż „miewa jebców choć z niższego grona”, jednak warta polecenia, bo zdrowa. Zdrowa jest także pani R., żona kasjera na królewskim dworze, „bo zawsze leki / bierze dla siebie z królewskiej apteki”. Zdrowa Józefka z Nowego Światu, „nieszpeta a dawna kurewka”. Także dwie córki Romanowskiej (ulica Bednarska, idąc ku Wiśle, kamienica czwarta od rogu po stronie prawej) „te zdrowe przecie, gdyż nie chorowały”. Zdrowa już jest Jezierska, „nieszpeta także” (idąc od Teatynów „obróć kroki w prawą stronę”, znajdź dom Piaskowskiej, na parterze w dwóch oknach „firanki... a tam jest łaźnia do jebanki”) „zdrowa, nie bój się, choć ją tryper męczył / z skutkiem apteka jej Andrychiewicza”. Zdrowa Zielińska, żona lokaja księdza Wiażewicza, przyjmuje w pałacu prymasowskim na Senatorskiej. Dziewczyny młode, zdrowe są u kuplerki i kurwy Łazuckiej (w kamienicy rzeźnika Kujasiewicza blisko Franciszkanów). Zdrowa jest także kurwa pałacowa „T. ma nazwisko”, bo „już wyszła z zarazy”. Kossakowski poleca także zdrową Elgielmanową z Nowego Miasta, w domu Pisarskiego, naprzeciw Ratusza, znak jest na dole „szynkarska wieszka”, a do bzdyczki trzeba wejść na pierwsze piętro, zdrowa, bo ta trzyma się apteki Andrychowicza, „bo korzeń i proszki apteczne / truje przypadki lub choroby piczne”.

Powstaje pytanie, czy można wierzyć Kossakowskiemu. Skąd jego zapewnienia, skąd wiedza o zdrowiu onych panien? Czasem wie to od znajomego „mówił jeden duda / co ją obłąpiał za złoty

półtora / i za prawiczkę zdała mu się chuda jej picza, oraz chwalił, że niechora”, podobnie ufa innym: „Już o jej zdrowiu wiem od tych grzebalcy / co to z jej kiepstwa nie wyjmują palcy”. To są zapewnienia o tych dziewczynach, których „nie znam z praktyki”, twierdzi Kossakowski. Dowód z drugiej ręki nie jest jednak równie wiarygodny jak własne badanie.

Przyznaje, że sam stwierdził zdrowie nieco ukrytej T., której „dobrze zapłacił”. Pochwala ostrożność! Owa Józefka „roztropnością zawsze się rządziła / nim jebać dała, to chuja w swe łapki / wzięła, a w nocy świecę zapaliła / i wprzód oczema zlustrowała zdrajca / całego chuja i wiszące jajca”. Nagłowski także zalecał: „Więc miej ostrożność, nie obłapiaj aże / da ci pomacać, nagotuje wody / ręcznika, gąbki i piczkę pokaże / dopieroż chędoż, zlustrowawszy wprzody”. Antosia Świerczowska dokładnie bada klienta: „Maca go wszędzie, toż w ręce kusicę / wzięwszy, wyciska, czy tryper nie ciecze. A ten nieborak miał być dyminice / postrzegła i w lot od niego uciecze”.

Obydwaj autorzy *Przewodników warszawskich* informują także o swoistej specjalizacji czy też preferencjach zawodowych i narodowych. Do Łęczyckiej na Piwną chodzą oficerowie, również do córki Romanowskiej. Do Grosmanówny „oficery i szambelani”. Do kamienicy Hołubków libertyni i mniej zamożni klienci, do „Oficerki” mnisi, księża i przechty. Do taniej Lizy Szendery na Grzybowie żołnierze. Hajducy chodzą na Warecką, Moskale i Turcy do Mątowej (tu zaraziło się poselstwo z Istambułu), do Anetki Szmalskiej chodzą Żydzi, Niemcy, Tatarzy i Grecy, a także służba pałacowa.

Ceny i usługi

Obydwaj autorzy *Przewodników* rzetelnie informują o cenach dziewczyn od gwałtownej potrzeby. Kossakowski wyraźnie powiada, że nie interesują go tabuny dziewczek ulicznych włóczących się po zmroku, owych „tłuczków”, które biorą trzy grosze „od sztycha”, nie opisuje kobiet ze spelun, najgorszych szynków, o których pisze Inflantczyk Schulz, twierdząc, że „nigdzie ich nie ma tyle co w Warszawie” — są to te z czwartej i piątej kategorii (jak starannie klasyfikuje podróżnik stołeczne kurwy), których pełno w szynkach, domach publicznych, drewnianych budach stojących w błocie. Pełno tu „potwornych kobiet”, „w jednej tylko koszuli i spódnicy w tych jamach długie lata spędzających”. Inflantczyk

dziwi się, że tego rodzaju plugastwa, znikczemnienia, brudu, chorób władze nie próbują likwidować. Zatem tych najbiedniejszych, co dają za kieliszek wódki czy za półzłotka, ani Nagłowski, ani Kossakowski nie opisują. Posługując się klasyfikacją Schulza, Nagłowskiego interesuje trzecia klasa warszawskich dziewczek, a Kossakowski chętniej zagląda do alkowy tych z klasy drugiej. A zatem ceny. Najtańsze biorą po złotówce, czasem 2–4 złote, jedna wycenia usługę na półtora złotego. Te za trzy złote są dla Nagłowskiego „niedrogie”. Tu konieczna dygresja. Panie z „miejsc kurwiskich” biorą w kilku obiegowych wówczas walutach: w złotych polskich, w czerwonych złotych (dukatach, te ostatnie mogą być „obraczkowe”, czyli więcej warte, bo nie okrojone po obrzeżach ze złota). Biorą w srebrnych groszach, w talarach, florenach i w rublach. Dukat wart był od 16 do 18 złotych polskich, złotówka składała się z 30 groszy. Grosz srebrny to czwarta część złotówki, dwa srebrne grosze to półzłotek. Talar zmieniano na osiem złotych, florena austriackiego na cztery złote. By ocenić wydatki na dziewczyny drugiej i trzeciej kategorii, spójrzmy na dochody tej grupy ówczesnych jeburów (posługując się podstawowym terminem Kossakowskiego), która nie należy do arystokracji, bogatego mieszczaństwa (bankierzy, kupcy) ani też do warstw najuboższych. Taki Trembecki dokładnie oblicza, że ma przychód roczny wielkości 10 050 złotych polskich, co daje panu szambelanowi i poecie 837 złotych miesięcznie. Uznajmy, że jest to jednak górna granica owych średniaków, pozwala ona Trembeckiemu na najmowanie karety i utrzymywanie dwóch lokai. Zejdźmy niżej. Dwudziestodwuletni Książnin, wychodząc z zakonu jezuitów po kasacie Towarzystwa, dostaje 50 złotych emerytury miesięcznie. Jako bibliotekarz u Załuskich bierze 105 zł, jako rezydent w Puławach dostaje zaś 125 złotych miesięcznie. Dobry aktor, jakim jest Owsiański, dostaje w roku 1779 prawie 360 złotych miesięcznie i darmową stancję, grający ogony Kosiński, musi się zadowolić (prócz stancji) kwotą 126 złotych polskich, bibliotekarz w Szkole Rycerskiej otrzymuje ok. 300 zł miesięcznie. Zapewne podobne są możliwości finansowe przyjeżdżającej do Warszawy w interesach szlachty i drobniejszych kupców. Bez większego ryzyka przyjąć można, że klienci warszawskich dziewczek drugiej i trzeciej klasy dysponują 200–300 złotymi miesięcznie. Dobra książka kosztuje wówczas ok. 5 złotych, wstęp do łoży Teatru Narodowego z trzema biletami to wydatek 21 złotych, ale już na „paradis” starcza złotówka. Pozostając przy wyróżniku „dobra”, to w roku 1779 dobra

książka, dobry bilet teatralny i dobra dziewczyna (drugiej-trzeciej kategorii) to wydatek rzędu pięciu złotych polskich.

Powróćmy do cen warszawskiego „chędożenia”. I Nagłowski, i Kossakowski wymieniają te damy, które biorą po kilka lub kilkanaście (mało prawdopodobne!) dukatów. Przypomnijmy, że 10 dukatów to 180 złotych, czyli miesięczna pensja nauczyciela szkoły prowincjonalnej. Najciekawsze są jednak informacje szczegółowe o usługach i ich cenach. Taka z Nalewek bierze niewiele, bo tylko srebrny grosz „za trzy sztychy”. Inna za jednego rubla daje siedem razy. Kolejna oferuje za 4 dukaty miesięczny abonament. Prawie 30 dukatów wydać trzeba za pozbawienie dziewczyny cnoty. Ważne jest także to, czy usługa warta jest zapłaty. Dla Nagłowskiego taka Machnicka „troszeczkę nad stan swój jest teraz przydroga”, podobnie „przydroga” jest dla Kossakowskiego mała Francuzka z Saskiego Pałacu. Ale już taka Zielińska, co bierze 3 złote, to „dość niedroga picza”. Niedrogie dupki „podaje smacznie” Łazucka i jej dziewczyny, bo za dwa talary. Są i takie o klasie i umiejętnościach, co „warte obrączkowego złota”. Ciekawe są opisy, co w ramach ceny się otrzymuje. Taka Katarzyna z Krakowskiego Przedmieścia nie tania, bo bierze dukata, ale „portki ci odepnie i chuja wprawi”, podobnie Kuleszanka: „u niej fatygi nie użyjesz siła / samać odepnie portki i wystroi / chuja”. Inna „sama bierze za chuja i jaje / a jak chcesz jebać, to ona po piczy / wierzchołku chuikiem mydli się i ćwiczy”, a „jeśli nieprędko wliwie, to go ślini / to znowu wyjmie, to gdzie indziej mieści”. Kossakowski daje do zrozumienia, że u tłustej i wygodnej kapitanowej w dworku księcia Czetwertyńskiego za połowę dukata (8 złotych) masz wszystko, co zechcesz („Możesz tkać choćby i głowę”). Taż sama wyobraźnia pojawia się i u Nagłowskiego, gdy informuje, że dziewczę u alfonsa Wojtusia w kamienicy Barankiewicza, gdy weźmie pieniądze „choćbyś chciał i głowę / tkać, toć pozwoli, rozłożywszy nogi”. Są i warte „obráczkowego złota” jak Salomea, garderobiana księżnej marszałkowej. Pewnie nie zawsze pieniądze trafiały tylko do dziewczyny. Wspomniany Wojtuś, zabierał połowę utargu, także połowę inkasowała kuplerka Kielczowska.

Szkoda, że Nagłowski nie podaje ceny (może to było gratis?) za samą przyjemność oglądania, gdy inni się chędożą, zna to z doświadczenia, powiadając „w obliczu mym się chędożyły”.

Wyznaczniki literackie. Opowieści, osobliwości, gry

Obydwa poematy bogate są w opowieści anegdotyczne, zdarzenia osobliwe, nie brak tu żartów, gry słów, aluzji politycznych. Nie brak cech, które wyróżniają teksty literackie i stanowią o ich wartości. Zaczniemy od tego, co i dla autora jest pewną osobliwością.

Taka na przykład Gałasiewiczowa, ta „choć dziewczynę trzyma”, to sama woli ją wyręczać „ty chcesz dziewczynę rznąć, ona sprośna / sama się kładzie i nogi rozkłada”. Albo erotycznie samowystarczalna Szwarcówna ze Świętokrzyskiej. „Śmieszne i dziwne kurwy ułożenie”, ta „nim chujowi” pozwoli, to pierwszej sama się „wybranzłuje”, dopiero później woła „jebura” i przy nim „leży jak krowa”, a „ten ją martwą goli”.

Opisy kobiecych „kątków” korzystają z poetyki wyolbrzymienia i niezłej przesady. Oto starościna Snarska, u niej nie sposób znaleźć granicę między dupą a pępkiem, bo tu „cztery są złączone picze”. Kuleszanka — ta to „ma wielkości piczę kapelusza”, podobnie jak Małowa, która „piczę ma dużą na kształt średniej wazy”. Poza średnicą „kątka” dziwi autorów i jego głębokość: „na oko zdaje się być młoda dziewczyna / lecz w dupie kuśka gruntu nie dostaje”.

Ekonomiczną osobliwość funduje autorowi Zosia Czarnecka ze Starego Miasta, która chętnie się zadłuża, a co jest hipoteką? „Weksle wydaje i zaciąga długi / na swojej pichnie pewność długu kładzie”. A dług ów (może z odsetkami) spłaca, bo „rznąć się pozwala”.

Przekrzcianka przy Brülla pałacu zajmuje się kształceniem, piękne dziewczki nauczają „jak obłapiać mają”. Moda najnowsza wymaga „nogi do góry, na bok, na krzyż”. Uczy też, jak zachęcić „jebura”: „Dwoma palcami gdy weźmie za główkę / stanie jak wryty żołnierz na hauptwachu / i gdy go włoży w piczną samolówkę / nie chce wyjść właśnie jak na deszcz spod dachu”.

Niektóre opowieści wydają się wyjęte wprost z Boccaccia, a nie są. Okazuje się, że to, co się powtarza w literaturze, powtarza się i w życiu i nie ma powodu, by sądzić, że Nagłowski i Kossakowski fantazjują. Oto kilka zdarzeń, jakby wyjętych z Dekameronu. Gdy mąż połajał żonę za to, że „jebać z wszystkimi się może”, ta poskarżyła się swoim „jebcom”, a ci „zbili mu dupsko” i to zmyślenie, bo zaprosili, by zażył promenady — „pojechał z nimi w tutejsze przedmieścia / tam od nich batów wziął więcej dwadzieścia”.

Oficerka z Nowego Miasta upodobała sobie w mnichach i przechrztach. Jednego sprytnie zwiodła: gdy przyszedł „ta leży w łóżku, rzecz obciążoną / jestem od ciebie przeklęty kapłanie / trzeba ekspensy teraz nie żałować / gdy mi się dziecię urodzić dostanie / to twoja żona musi je wychować”. Nieszczęśnik próbuje się ratować „dwa połci słoniny / kupuje, przy tym daje sześć dukatów” i prosi, by do żony nic nie dotarło. Niewiarowski (nomen omen księdza przechrzty) w końcu brzuch pod kołdrą pomacał, a ta „wypiąwszy z miesiaczką mu szoldrę / zaraz idź — mówi — kpie do swej żony”.

U Żuchowskiej trzeba uważać, bo jest „zdradna”. Da „paluszkować”, jak już pozna, „żeś jest z apetytem”, znak daje, wpada mąż rozjuszony, „broni jakby własnej żony” i odchodzi, gdy „co dasz będąc nastraszony”.

Kasjer z królewskiego dworu zawsze się martwi, gdy żona nie ma klienta „bo kiedy na nią kto z jebców nie skacze / on desperuje oraz z żalu płacze”. Małżonka tegoż specjalizowała się w posłach cudzoziemskich, gdy wyjechał ten z Niemiec, to „płakali jebca małżeństwo oboje”.

Spore wyczucie komizmu ma Kossakowski. Opowiada, jak pewien generał wraz ze swoim synem pułkownikiem dziewczkę warszawską „obydwa jebali” A jak? „Po rycersku się na niej popisali”.

Albo ukryta pod literą T. dziewczka, ta działała pokojowo i konsolacyjnie w czasach konfederacji barskiej (?), kiedy to „Polak i Moskał, te dwa wojska zbrojne / czynili często między sobą bitwy”, a ona „jak z Polakiem, tak z Moskałem brała / znajomość, i z tym i z tamtym się jebała”. Źdźbło komizmu kryje się w refleksji Nagłowskiego o hajdukach i lokajach, którzy, chodząc do Anetki Szmalskiej, „strawne swe w dupie u niej utopili”.

Ryzyko „jebanki” to nie tylko choroby, zazdrośni mężowie i krewcy amanci. „Na Nowym Mieście suknie z księdza zdarli / a Sołochuba naszedł z szablą zdrajca / kupca okradli. Już obaj pomarli”.

Niezlą opowieścią jest wieczne dziewictwo Julijany mieszkającej u Zakrzewskich. Ta zawsze chlubi się tym, że z niej „nietknięta panna” — „gadają o tym, że ona mastyki / miewa do kiepstwa na posmarowania”, kiedy „balsamuje” to „wlot się zstępuje picza”. „Kto wsiądzie, sądzi, że jeszcze nietknięta / ale od niego raz pierwszy poczęta”. Zasadami kieruje się Górska (blisko bazylianów mieszka), ta bardzo się lubi obłapiać, ale honor nie pozwala jej robić tego za darmo, „bez dukatów... nieużyta” — „szczodrość

szanuje, a skąpstwo zaś gani”. Dziewczyna u Hołubkowej sma-ruje swój „kątek” „marynatą [...] octem”, a ci co na nią wchodzą, to „każdy jebiąc surowość wytłacza”. Tak jak niegdyś w prostaczka Woltera diabeł wstąpił, gdy go ochrzcili, tak „panna dość pocziwa w cnoty”, co nikomu tknąć się „nie dała / mężatką takiej dopiero ochoty / nabyła, że się tego rozjebała”.

O wartości tekstu decyduje także jego zakotwiczenie w tradycji i jej przełamywanie. Niektóre żarty językowe i sytuacyjne mają swój staropolski rodowód, jak choćby zakończenie przygody „jednego chłopca”, który zainwestował cztery dukaty, by kupić Antosi salopę, a ta uciekła od niego. „Pieniądze stracił, dupki nie chędożył / chuj się pożegnał z pichną Antosiną / sam się na jajcach spać trochę położył”.

Warto też zwrócić uwagę na niektóre cechy wiersza obu autorów. To sprawni rymotwórcy. Zręcznie wykorzystują i dwuznaczność, i zaskakujące połączenia. Kossakowski twierdzi, że Jezierska mogłaby się nazywać Nasiębierska. Szulerzy, gdy przegrają, chodzą zabawić się do Fleksztajnowej, bo „u niej w dupie bale”. Jedna z bohaterek uważa, że jak „ksiądz święcony”, to ma i „święcone jajca”. Kossakowski twierdzi, że żona Narbutta jest „gorętsza w miłości niż huta”. Tenże Narbutt, stary zasłużony i odznaczony żołnierz, obserwuje teraz zapasy swej żony, patrzy jak nacierają na nią „mężnie pro fide jak lege tak rege / bzdyczą panowie za wojny zamianę”.

Seksualizmy i wulgaryzmy dość często pojawiają się w rymach obu poematów. Obok tych literacko powszechnych i wytartych typu: „dupy/kupy”, „dupa/chałupa” czy czasownikowe typu „brała/jebała”, pojawiają się często cieszące ucho czytelnika, a czasem i zaskakujące połączenia, takie jak: „dupa/trupa”, „policzki/piczki”, „jebca/zgrzebca”, „konserwuje/chuje”, „likwor-ku/rozporku”, „franciszkany/wyжебany”, „ulica/zadnica”, „zgraje/chuchmaje”, „nie stało/jebało”, „rznie się/ kongresie”, „niebo-raka/sraka”, „Górska/pizdodziurska”.

Dla badacza życia codziennego polskiego oświecenia ważne są informacje o ubiorach owych panien (czerkasy, robrony, salopy, spódnice, koszule, garnitury, tafty, guzy, kaftaniki, gałgany, płócienice, szusty, semidupki, suknie w obrębki złote lub srebrne). Jedną z dziwek w Saskim Pałacu stroją „dość pięknie, podług mody / lecz i nad modę, ponieważ po męsku / w strój cudzoziemski”.

Jeśli chore w większości nieszczęśnice rozpustnej Warszawy Nagłowskiego dają wszystkim, co płaca, to zaskakuje informacja

Kossakowskiego — jego dziewczyny są często metresami książąt, dostojników kościoła, ważnych urzędników, osób znanych. A zarazem — jeśli wierzyć Kossakowskiemu — pozostają ogólnodostępne.

Kossakowski zachowuje żartobliwą skromność. Nie przeczy, że wie sporo o dziwkach warszawskich, ale dodaje, jeśli czytelniku chcesz wiedzieć więcej niż to, co wyczytasz w obu przewodnikach, to pytaj, „gdzie stoi pan Czerski” i jego zapytaj, bowiem „on wie najlepiej o kurwach w tym mieście”. Odsyła Kossakowski do niesławnej pamięci instygatora warszawskiego, Tadeusza Czerskiego, wówczas 36-letniego porucznika w kawalerii narodowej, starosty dźwinogrodzkiego, w 1781 r. już pułkownika, znanego w mieście rajfura wielkich panów.

Antoni Korwin Kossakowski gra także aluzją gatunkową. Jego tekst realizuje się na pograniczu przewodnika, poematu i poematu heroikomicznego. Oto przyjmując normę popularnych „przewodników” oświeceniowych, angażuje swą wiedzę w ową osobliwą informację, zachęca innych, by trud kontynuowali, ktoś potrzebny, kto „pomnoży w liczbie nasze kurwy wieszczce / wszak nie jest grzechem, kto się z prawdy śmieje”.

Zamknięcie

Gdzieś tam, na Polach Elizejskich, przechadzają się teraz Profesorowie z dawnych lat. Zdzisław Libera z wrodzoną sobie delikatnością wypomina Romanowi Kalecie jego rozprawę o *Oświeceniu swawolnym w świetle nieznanej satyry bibliograficznej*: — Tyle jest w Pana książce ważnych artykułów, a ten po co, ten niepotrzebny. Edmunda Rabowicza chwali za wnikliwe studia o *Trembeckim w świetle nowych źródeł* i dodaje, że na *Przewodniki* szkoda czasu badawczego, szkoda wysiłku, tyle jest jeszcze rzeczy poważnych do zrobienia, tyle jeszcze nieopisanych faktów oświaty, nauki, tolerancji, wysokiej i potrzebnej społecznie kultury Oświecenia. Kaleta i Rabowicz bardzo ostrożnie polemizują. — Panie Profesorze! Przecież to było, tak wyglądało libertyńskie oświecenie, tak wyglądało tamto społeczeństwo, tamta nieobyčajność i takie było podziemie literackie.

Nawet jeśli było — odpowiada Libera — nie godzi się o tym pisać, nie warto, szkoda na to czasu, szkoda życia.

Do rozmowy Panów Profesorów nie włącza się Antoni Kosakowski, poeta, uczony, awanturnik, kiedyś sekretarz w kancelarii Stanisława Augusta, a dzisiaj jeden z bohaterów *Ksiąg Jakubowych* Olgi Tokarczuk. Tutaj, w *Księgach*, stary Moliwda u schyłku życia siedzi w szynku warszawskim na Grzybowskiej i Piotrowi Jakubowskiemu vel Nachmanowi Ben Lewi z Buska rozrysowuje na stole, „gdzie i jaka dziewczka przyjmuje”. Gdyby mógł włączyć się do rozmowy Profesorów, przypomniałby pozostawione w *Suplemencie do Przewodnika warszawskiego* najważniejsze przesłanie:

**„A stąd niech świat zna, w co kwitnie Warszawa,
Niech zna, że z kurew jej największa sława”.**

See Warsaw and die!

[summary]

In the convention of a popular essay, a reflection on the acute-erotic literature of the times of Stanisław August Poniatowski, accompanied by the question of whether and how this type of poetic expression should be studied.

Keywords: Warsaw, whores, disease, services, prices, addresses